

Mieliśmy razem napisać powieść



Marek Hłasko i Krzysztof Komeda, lata 60., fpt. Marek Nizich-Niziński, wikimedia commons

Z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem ruchu literackiego „Współczesność”, o pobycie w Los Angeles w 1966 r. i Marku Hłasce rozmawia Danuta Błaszak (*Floryda*).

Czy możesz opowiedzieć o tym, jak spotkałeś Marka Hłaskę w Los Angeles? Wiem, że pracowaliście razem nad powieścią. Ten okres to nadal jakaś luka w powszechnie znanych życiorysach Marka. W internecie znalazłam informacje o zdemolowanych barach.

O zdemolowanych barach w Los Angeles nigdy nie słyszałem.

Marka znałem z „Po prostu” i wyczekiwań u Wilhelma Macha - naczelnego Kultury.

Przyjaźnił się z Romanem Śliwonikiem. Nie był założycielem „Współczesności”. Wtedy w roku 1956 dystansował się od nas, chociaż podpisywał petycje.

W latach 1958 – 1966 nie mieliśmy kontaktu na emigracji. Marek był protegowanym Giedroycia, a ja nie. Prócz tego, a to chyba najważniejsze, ja byłem w Australii, a on w Paryżu i Izraelu. Spotkaliśmy się ponownie w Los Angeles w ostatnim roku jego życia. Nie wiedziałem wcześniej o planach Romana Polańskiego ściągnięcia Marka Hłaski do Los Angeles w roku 1966. To była dla mnie niespodzianka.

Spotkanie i wspólny pobyt w Los Angeles Ciebie, legendarnego założyciela „Współczesności”, z Markiem Hłaską... to brzmi niemal niewiarygodnie. Pisanie wspólnej powieści - to działa na wyobraźnię. Plany zostały przerwane przez śmierć Marka. Jak się spotkaliście?

O tym, że Romek Polański ściągnął Marka do Los Angeles dowiedziałem się właśnie od Marka. Dokładnie nie pamiętam kiedy i jak, ale Marek pokłócił się z Romkiem, któremu miał pisać scenariusz. Zaraz po moim przyjeździe do Los Angeles, Danusia Zawadzka poinformowała mnie, że Marek tam mieszka i dała jego adres na Wilshire.

Wilshire zaczyna się w samym sercu miasta i idzie w prostej linii, przez Santa Monica, do Pacyfiku. Jest to główna arteria Los Angeles długa na kilkanaście mil. Wzdłuż niej, wtedy były głównie banki, hotele, rozmaite oficjalne budynki i luksusowe kondominia. Adres na tak ważnej i drogiej ulicy zadziwił mnie, ale wiedząc, że Marek jest pisarzem o międzynarodowej sławie myślałem, że odpowiada to jego kieszeni. Jak się później okazało, jego kieszeń była jeszcze bardziej dziurawa niż moja.

Po przeszło godzinnej jeździe autobusem dotarłem wreszcie w pobliże jego numeru i okazało się, że to był jeden z bardzo już nielicznych starych budynków, prawie rudera. Marka już tam nie było. Nowi i gościnni lokatorzy, jacyś studenci – hipisi z UCLA, Westwood, znali Marka, ale nie jego adres, obecnie gdzieś w Hollywood.

I jak go znalazles?

Wcale nie w Hollywood. Mieszkałem w starym czynszowym domu w pobliżu śródmieścia i centralnej miejskiej biblioteki i Domu Polskiego założonego gdzieś na

początku dwudziestego stulecia przez polskich socjalistów. Pozostały po nich stempelki na książkach bibliotecznych. Dziś funkcje tego domu sprawuje polski Kościół na Adams, do którego powstania przyczyniła się hojność pani Apolonii Chałupiec, znanej jako Pola Negri.

Właścicielem „mojego” domu był niejaki pan Świątek, milioner, ale skąpiec który gnieździł się w jednym pokoiku wraz siostrą, jak mnie zapewniał nieoceniony gawędziarz (i plotkarz) Bohdan Brym. Budynek był bez windy i gdy wreszcie wspiałem się na ostatnie piętro, któż siedział na schodach pod drzwiami mojego apartamentu? – Marek Hłasko! Marek nie zmienił się, raczej odmłodził i wyglądał wręcz chłopięco, zwłaszcza z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany po sportowemu. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się sobie spowiadać, z tego co się z nami działo w ciągu ostatnich lat. Ale zaczęliśmy opowieści od ówczesnego ranka. Od tego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń i współpraca literacka.

Marek opowiadał, że wtedy obudził go tubalny głos Leonidasa Ossetyńskiego, który stał pod oknem jego mieszkania na Pointsettia i wykrzykiwał na całe Los Angeles, że Szymański przyjechał do tego słynnego miasta Aniołów. Marek wsiadł w swój samochód i wkrótce już całował klamkę drzwi mego apartamentu. Postanowił poczekać, no i doczekał się.

Marek był bez pracy i pieniędzy. Zaprosił go do Los Angeles Roman Polański. Chciał od Marka scenariusz. Chyba zapłacił za przyjazd i pokrył koszty utrzymania przez pierwsze dni. Ale rychło się poróżnili i ze współpracy nic nie wyszło. Odniosłem wrażenie, że Marek jest poróżniony z wieloma osobami. Miał też jakieś zatargi z Sakowskim z Londynu. Wyglądało na to, że miał rozmaite pretensje do Romana, ale nie wypytywałem się o szczegóły. W konkluzji Marek stwierdził, że gdyby nie te ich nieporozumienia, to pewnie byłby zamordowany wraz z żoną Polańskiego i Wojtkiem Frykowskim. Pamiętam, że określił Sharon Tate jako wysoką „gidyję”.

Marek nic nie mówił dlaczego Roman Polański wycofał się ze swojego zamierzenia nakręcenia filmu według jego scenariusza. Nie wiem czy ten scenariusz został napisany.

W owym okresie od „oficjalnej” Polonii Marek trzymał się raczej na uboczu. Zasadniczo „opiekował” się nim Leonidas Dudincew Ossetyński, aktor i poeta,

dyrektor szkoły aktorskiej, gdzie uczył pupilków metodą Stanisławskiego i Grotowskiego. Miewał jakieś podrzędne role w rozmaitych filmach. Finansowo dawał sobie radę jako tako. To Leonidas wystarał się Markowi o mieszkanie na Pointsettia. Bardzo obszerne, staromodne i na spokojnej ulicy w pobliżu Hollywood. Fizyczne zdrowie Marka było pod dozorem doktora Otto Lauterbacha, przyjaciela pisarzy, człowieka typu Mieczysława Grydzewskiego. Przez pewien okres Marek kolegował się z Henrykiem Grynbergiem.

Mój przyjazd trochę pomógł Markowi bo, ja dzięki doktorowi Michałowi Zawadzkiemu i jego żonie Danusi, miałem poprawne stosunki z „oficjalną” Polonią, zasadniczo tą wojenną. Leonidas, ekscentryk i aktor to była „bohema”! Ja - ni pies ni wydra, podobnie jak w Polsce, nigdzie nie pasowałem. Dla „bohemy” byłem zbyt burżujski, dla burżujów zbyt cygański! W Polsce dla partyjniaków zbyt buntowniczy i niezależny, dla innych zbyt oportunistyczny i ugodowy.

Ale wracając do rzeczy. Markowi zaczął pomagać Szczepan Zimmer, autor książki z „Chałupy na Parnas” o Kasprowiczu. Zimmer był dyrektorem biblioteki szpitalnej, gdzie też wystarał się o pracę dla mnie. Pamiętam jak kiedyś u mnie siedzieli, na parapecie okna z Markiem, oświetleni promieniami zachodzącego słońca, tak jakby pozowali dla potomności.

Samopomoc oferowała Markowi pożyczkę. Danusia Zawadzka wystarała się mu o pracę u Wnurowskiego, nie pomnę imienia. Weterana i właściciela fabryczki w sienkiewiczowskim Anaheim. Marek zaczął się interesować Różą Piłsudską.

Jakie zajęcie znalazł sobie Marek Hłasko w Los Angeles?

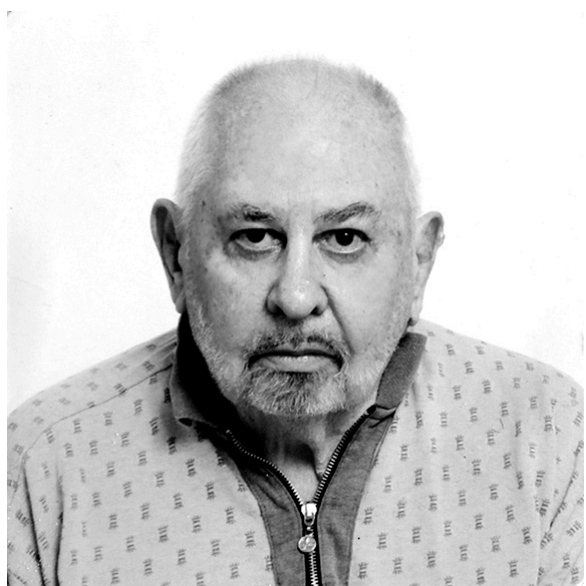
Dziwiłem się, że Marek nie próbuje jakiejś pracy biurowej i ubiega się o pracę „helpera”, tj. niewykwalifikowanego robotnika. Na co on odpowiadał, że do pracy biurowej się nie nadaje.

W końcu Wnurowski, w Anaheim dał mu pracę w swej fabryce. Pamiętam, że chciał wziąć Marka do „offisu”, ale Marek odmówił. Więc przenosił blachy z jednego miejsca w drugie. Ciął sobie dłonie i dezynfekował czerwonym środkiem odkażającym, Te prawie ukrzyżowane ręce pisarza robiły straszliwe wrażenie. Symbol pisarstwa emigracyjnego. Na proste pytanie, dlaczego nie używa rękawic

odpowiedział, że blacha się wyslizguje.

Jak spędzaliście czas?

Często wtedy jeździliśmy na plażę (Marek jak się wyrażał był „wodniakiem”) wraz z moją pierwszą małżonką Jadwigą (Marek twierdził, że jest to jedna z nielicznych osób, które nic złego o innych nie mówią. Uczył ją też jazdy samochodem) i Leonidasem, wtedy jeszcze nieżonatym. W związku z tym pamiętam, że któregoś upalnego dnia wyraziłem zdziwienie, że tylu mieszkańców naszej ulicy spędza czas piekąc się na chodnikach, zamiast pojechać nad ocean. Na co Marek odpowiedział, że większość z nich nie ma samochodów. Dojazd autobusem ze śródmieścia jest kosztowny i długi. Prócz tego może się lepiej czują w mieście, niż na łonie natury. Prawdy oczywiste, ale jakoś nie przyszły mi do głowy.



Leszek Szymański

Leszek Szymański – pisarz, dziennikarz, historyk, podróżnik, politolog, filozof, ważna postać wśród polskich pisarzy emigracyjnych. Jest autorem wielu dzieł beletrystycznych i *non-fiction*, głównie w języku angielskim, ma swoje miejsce w literaturach Polski, Australii i USA. Jest laureatem Nagrody im. Josepha Conrada przyznanej przez Miasto Literatów z Florydy. W Polsce znany jest w kręgach literackich jako legendarny założyciel „Współczesności”, pisma, które w 1956 r. było jedyną niezależną publikacją za żelazną kurtyną.

Zobacz też:

Pałac Gubernatora w Santa Monica i inne legendy. Wspomnienie o Marku Hłasce.

Zakamarki pamięci - wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Z opowieści legendarnego założyciela ruchu literackiego „Współczesność” - Leszka Szymańskiego. Wspomnienie o Marku Hłasce.

Danuta Błaszak (*Floryda*)

Przygotowuję drugie wydanie książki „Wywiady - spotkanie „Współczesność”, uzupełnione i rozszerzone. Rozmawiam z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem „Współczesności”. Kilkakrotnie wracamy do Marka Hłaski, którego Leszek znał. Znali się jeszcze z Polski w latach pięćdziesiątych, a w roku 1966 spotkali się w Los Angeles, na krótko przed śmiercią Marka. Spędzali razem dużo czasu, miała powstać wspólna powieść... W tej, jednej z kilku, krótkich rozmów z Leszkiem, zapytałam o

legendy dotyczące Marka. Jedną z legend zatytułował „gwizd lokomotywy”. Alkohol modny był w tych czasach chyba znacznie bardziej niż teraz, tutaj na pewno był czynnikiem inicjującym zabawne historyjki, dodającym śmiałości. Z dużą ciekawością słuchałam tych barwnych opowieści dotyczących dwóch sławnych, legendarnych pisarzy.



Słynna Venice Beach w Santa Monica, lata 20. XX w., fot. wikimedia commons

Leszek Szymański (Warszawa)

Gwizd lokomotywy

Gwizd, o którym wiem w Los Angeles był potrójny. Raz Marek zagwizdał na bardzo dostojnym przyjęciu polonijnym, bo wszyscy, byli tak dystyngowani i wyfraczeni, że

go szlag trafił i chciał zaszokować naszych nadętych dostojników. Nota, bene Marek zasadniczo był nieśmiały. Unikał zebrań i spotkań autorskich, które mu proponowano. Choćby dobrze płatnych.

Ze mną kiedyś się założył, że wypije szklankę spirytusu i gwizdnie głośniej niż ja, po takim samym wyczynie. Działo się to w moim mieszkaniu w Downtown, Los Angeles., na Union Drive. Wtedy w śródmieściu, jeszcze nie wypiętrzonem i szklannym, gdzie normalni ludzie mogli znaleźć tanie mieszkania, spirytusu nie mogliśmy kupić, bo jest nielegalny w Kalifornii. Dostaliśmy jednak rum, chyba 90%. Marek wypił szklankę i gwizdnął niczym lokomotywa. Jak przyszła na mnie kolej szklanicę wychyliłem, świsnąłem cichutko i spadłem pod stół. Nie pamiętam co się dalej działo.

O Marku Hłasce i pałacu Gubernatora w Santa Monica.

Historyjkę tę pamiętam przez mgłę kilku już dziesiątków ubiegłych lat, no i oparów alkoholu. Więc nie ręcę za naukową ścisłość faktów. Po tym „caveat” przystępuję do opowieści.

A zaczęło się to u Marka Nizińskiego od celebracji z okazji objęcia przez niego zaszczytnej funkcji „menadżera”, luksusowego domu apartamentowego prawie, że na „Miracle Mile” (Cudownej Mili) w pobliżu, słynnego muzeum w La Brea, gdzie utopiły się, ale jednocześnie zakonserwowały w smole (dziegciu) niezliczone przedpotopowe zwierzęta, z których potężne mamuty można obserwować jadąc słynnym bularem Wilshire.

Niziński wysoki i chudawy blondyn, poeta pisarz, „menadżerował” przed tym jakąś historyczną rudere w centrum Hollywood, gdzie kiedyś podobno mieszkała Black Dalila, Charles Chaplin, a nawet nasza rodaczka słynna Pola Negri z domu Apolonia Chałupiec Nastrój był beztroski. Trunki lały się płynnie, panował zwykły gwar. Gospodarz zaprosił naszą całą „ferajnę” to jest dość szczupłą polską cyganerię z Los Angeles.

Były zwykle kłótnie na tematy polityczne i literackie. Jak powiadał Roman Śliwonik o czasach „Współczesności”, kłóciliśmy się o wszystko tylko nie o pieniądze! Patriotyczne mazurki i oberki, a w pewnym momencie Marek Hłasko poszedł solo w kozackie „prysiudy”. Od czasu do czasu wydawał przeraźliwy gwizd,

warszawskiego żulika z Powiśla. Nie pamiętam ani imion, ani nazwisk wszystkich uczestników, ani ich żon i nie żon. Nie gwarantuję też, że nie pokręciłem nazwisk osób, które pamiętam. Tak na przykład mający mi się, że był z nami Jack Nicholson, pozostałość po czasach przyjaźni Marka z Romkiem Polańskim. Był także amerykański poeta Charles Bukowski zwany pospolicie „BarFly”. Ale wszystko było bardzo przyzwoicie i względnie cicho, nie licząc tych paru gwizdów lokomotywy, nawet nie o spóźnionej porze. Jednak odgłosy biesiady nie spodobały się któremuś z dostojnych lokatorów. No i podobno komuś zdarzył się wytrysk żółdkowy zwany pawiem w wypełnionej windzie.

W pewnej chwili, gdy obudziłem się z chwilowej drzemki zobaczyłem kilku policjantów. Wyglądali groźnie z rewolwerami na pasach i pałkami w rękach. Ale byli grzeczni. Nie wiem, z jakiej racji zaczęli nas wypytywać o narodowość. Choć nie wyglądaliśmy na „undocumented immigrants”, a o terrorystach jeszcze się nie słyszało.

Marek Hłasko przedstawił się jako Izraelita, Niziński bodaj jako Szwed, Andrzej Krakowski jako „Native American”, Henryk Grynberg był mieszkańcem Kaukazu, a ja oczywiście Australian Aborigine. Jedynie Czesław Banasiewicz, znany grafik i prawie trzeźwy, przedstawił się z wrodzoną godnością jako Polak. Nicholson i Bukowski zniknęli, a może wtedy nie byli z nami. Policjanci kiwali głowami i pałkami, ale niegroźnie i poprosili o paszporty... bardzo uprzejmie. Widać ta zawodowa grzeczność zwiódła Marka Hłaskę, gdyż w pewnej chwili sięgnął do kabury jednego z przedstawicieli prawa. Nim się spostrzeżliśmy, mieliśmy kajdanki na rękach i znaleźliśmy się w karetce policyjnej, czyli w tak zwanej w Polsce „Czanej Marii”.

Zawieziono nas na komisariat w Santa Monica, który się mieścił w pięknym pałacyku, który wyglądał jak zrobiony z barwnych kafli i mieścił się w cudnym ogrodzie z fontanną, jakiegoś dostojnika z czasów hiszpańskich, czyli popularnie mówiąc w Pałacu Gubernatora. Z jakiej racji nas tam zawieziono, nie wiem. Bliżej było do Hollywood, względnie do Rampart Division. A może miało to coś wspólnego z wpływami i znajomościami Jacka Nicholsona?

Marek zapadł w jakiś trans bo nie podnosił powiek, nawet gdy nas wyładowano z wozu. Tym razem mniej uprzejmie. W pewnej chwili otworzył oczy i krzyknął ze

zdumieniem – *Wreszcie mamy uznanie! Do pałacu nas zawieziono!*

Wszystko skończyło się dobrze. Wkrótce nas zwolniono. Chyba w wyniku interwencji Stefana Pasternackiego, czy też doktora Otto Lauterbacha. Nie, Leonidasa Ossetyńskiego, bo ten był z nami. Pamiętam, że przedstawiał się policji jako rabin, gdyż grał taką rolę w jakimś filmie.

A najważniejsze, że Marek Niziński nie stracił posady. W domu mieszkało wielu, jako tako, znanych aktorów, artystów i tym podobnej eks-bohemy, obecnie dobrze zarabiającej, więc właściciel zawyrokował, że Nizinski i jego kompania pasuje do budynku, ale niech się taka heca nie powtórzy, bo „menadżer” ma być tym właśnie, który daje przykład dobrego zachowania.

*

Zobacz też:

Mieliśmy razem napisać powieść

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Zakamarki pamięci - wspomnienie

o Marku Hłasce



Marek Hłasko, 1958 r. fot. Getty Image

Piotr Guzy (1922-2018)

Hiszpania

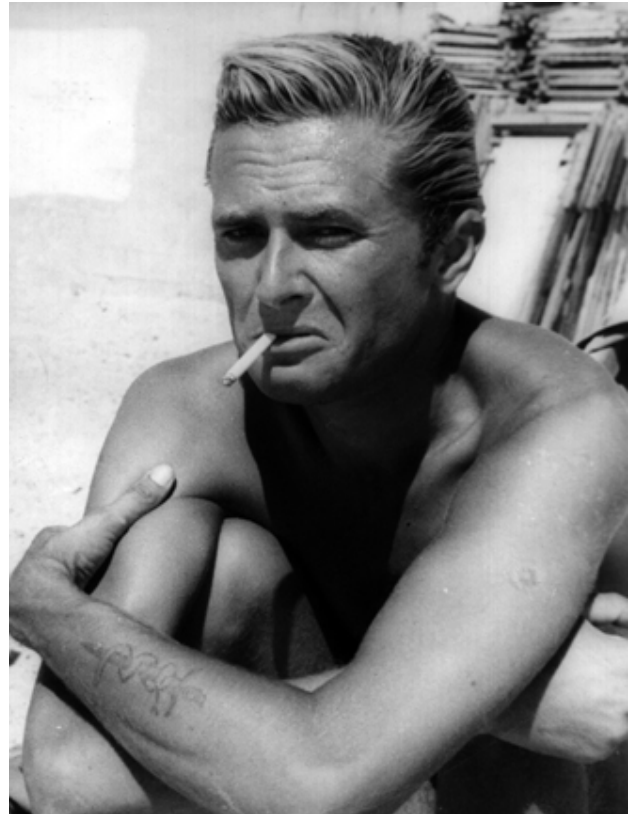
Mieszkalem w tym czasie w Monachium, pracowałem w rozgłośni polskiej radia Wolna Europa. Partie poniższego tekstu są częściowo przepisane z prowadzonego wówczas dziennika.

Pod datą 16 czerwca 1969 zapisałem: Od trzech tygodni czekałem codziennie na telefon od niego, dzwonek przy drzwiach: może on? Na ulicy rozglądałem się uważnie, może go gdzieś spotkam? Trzy tygodnie temu wspólny znajomy powiedział mi, że była żona Marka, znana aktorka filmowa, Sonja Ziemann doniosła mu, że Marek wrócił z Ameryki i razem zamieszkają na kilka miesięcy w Monachium, gdzie bodaj Sonja miała kręcić jakiś film. Pytałem, czy wie z jakiego hotelu dzwoniła, nie wiedział. Zastanawiałem się, czy nie dzwonić po hotelach, szukać go, ale to jak igła

w stogu siana.

Rano zadzwonił Wiesio Piekarczyk, że Marek nie żyje, umarł w sobotę (14 czerwca) w Wiesbaden, okoliczności nieznane, wyklucza się możliwość morderstwa. Wstrząśnięty bólem - płakałem. Przez uchylone drzwi zobaczyłem tego ubeka z parteru, jak szedł chodnikiem. Takie skurwysyny żyją, a taki piękny człowiek, jak Marek, umiera w szczenięcym wieku 35 lat. Przez cały dzień byłem przybity, milczałem, słowa nie potrafiłem z siebie wydusić, miałem ciśnienie w piersiach.

Po południu Wiesio zadzwonił z dalszą wiadomością: Marek umarł na skutek zażycia tabletek nasennych w pijanym widzie. Nie wiadomo kiedy będzie pogrzeb, przypuszczam, że pojutrze, bo jutro jest święto jedności (rocznica wybuchu powstania w Berlinie wschodnim w roku 1956) - pojedę. Tak czekałem na niego, tak chciałem się z nim spotkać, może by nie doszło do tej głupiej, niepotrzebnej śmierci. Byliśmy z tego samego pokolenia literackiego, poznaliśmy się bodaj w 1951 roku na zjeździe młodych pisarzy w Oborach. Jego śmierć to tak jakby ktoś okroił mnie o jakąś część mojego własnego ciała. Dopóki żył wiedziałem, że nie jestem sam, teraz - taka strata dla literatury. „Sowa córka piekarza” była najlepszą powieścią jaką dotąd napisał. Największy pisarz naszego pokolenia - miał przed sobą jeszcze 50 lat twórczości - mierzyłem się z nim, szukałem jego uznania. Pod wieczór poszliśmy z Ishbel (moją żoną) na piwo do Schwabinger Treffpunkt, cały czas miałem łzy w oczach. Skupiłem się w sobie metodą yogi i uspokoiłem się na dobre. Wieczorem u Dobków, już mogłem spokojnie o nim mówić.



Marek Hłasko, fot. Archiwum Marka Hłaski

Przyszedł Czesio i powiedział, że pogrzebem Marka zajmuje się Bożekowski - dał mi jego telefon - dowiem się szczegółowo, jeśli nie ma jeszcze pasażera na wolnym miejscu w jego wozie, to może mnie zabierze.

Bożekowski będzie jutro rano dzwonił na policję w Wiesbaden, dowie się kiedy będzie pogrzeb. Niestety mnie nie będzie mógł zabrać, bo Barbara Nawratowicz już wczoraj prosiła, żeby ją wziął ze sobą. Nic nie szkodzi, pojedę pociągiem.

Spałem w ubraniu na tapczanie w moim gabinecie. Zadzwoił telefon: Bożekowski. Byłem kompletnie pijany, przerwa w życiorysie, nie rozumiałem co się stało. Potem Ishbel opowiedziała: wieczorem poszliśmy do Schwabinger Treffpunkt na piwo, dołączył do nas ksiądz (duchowny opiekun pracowników radia), potem przyszli Wilczyńscy. Dalej chłanie, potem wróciliśmy wszyscy do nas, ksiądz przyszedł z Kazikiem Wilczyńskim, wypiliśmy prawie całą butelkę rumu austriackiego, hałasowałem na klatce schodowej i zbudziłem sąsiada, pana Bożęckiego. Po południu kupiłem bukiet kwiatów i zaniósłem z przeprosinami. Jeśli nie będę na siebie

uważał, to zniszczy mnie alkohol.

*

Wyjazd z Bożekowskim do Wiesbadem. Jechaliśmy jego „proszą”, cały czas w deszczu, okropne.

Wzięliśmy pokój w hotelu Silvana na Kapellenstrasse 4, ja płaciłem: 100 marek plus 12 za telefon. W zachowanym do dziś dzienniku mam wklejony kwit. Sonja zatrzymała się w hotelu Schwarzer Bock, gdzie można brać kąpiele błotne.

Powiedziała nam przy pierwszym spotkaniu, że jeśli byłoby konieczne jechać taksówką, to mamy pamiętać, żeby od kierowcy wziąć pokwitowanie. To się jej przyda przy obliczaniu podatku dochodowego. Powiedziałem, że z całą pewnością tak uczynimy. Już rozwiedziona z Markiem, ale tu na jego pogrzebie występowała jako *ehemalige Frau Marek Hlasko*. Sonja od stóp do głów przebrała matkę Marka, panią Marię Gryczkiewicz, gdy ta tu przyjechała. Miała ją u siebie w pokoju, dzwoniła do najbardziej wykwintnego składu w mieście i kazała przynieść wyszczególnione artykuły damskiej odzieży. Jeżeli coś nie pasowało, zwracała i przynosili nowe.



Marek Hłasko z żoną, niemiecka aktorką Sonją Ziemann, fot. East News.

20 czerwca, pogrzeb Marka na Sudfriedhof. Szedłem za trumną wiezioną na czterokołowej taczance. Sporo ludzi, przeważnie związanych z kinem, teatrem. Był Moll z wydawnictwa Kiepenheuer und Witsch z Eriką, jego żoną, jakaś para aktorów, ona Niemka, on Holender, Bożekowski, no i ja. Myślę, że było w sumie jakieś dwadzieścia osób. Bardzo szybko spuszczone trumnę do wykopanego już dołu, zasypano ziemią, na górze zrobił się wcale pokaźny kopiec, na nim wieńce, dużo wieńców. Na ten kopiec rzuciła się matka Hłaski, pani Maria Gryczkiewicz, szeroko rozłożonymi rękami objęła grób, w potężnych spazmach łkała, płakała, całym ciałem zespolona z tym kopcem, rękami jakby rwała tarninę, jakby chciała dorwać się do samej ziemi, wniknąć do samej trumny, rozerwać ją, to było żenujące.

Wieczorem obiad w hotelu Schwarzer Bock, zaprosił nas Moll, był redaktorem

utworów Marka w wydawnictwie Kieppenheuer und Witch, jego żona Erika, była też ta aktorska para holendersko-niemiecka, jeszcze kilka osób, potem wstaliśmy wszyscy od stołu i przeszli do baru, gdzie piliśmy do piątej nad ranem.

*

Moja teoria śmierci Marka była taka. Marek miał w Izraelu dziewczynę, Esther Steinbech(?), którą kochał. Były pogłoski, że miał z nią dziecko. W czasie fatalnej nocnej popijawy miał w kieszeni bilet lotniczy do Tel Awiwu. Miał tam lecieć następnego dnia. Zadzwoił do Sonji do Berlina, że na zlecenie telewizji niemieckiej będzie kręcił film w Izraelu. Sonja wiedząc, że Marek zamierza lecieć do Iraela, zadzwoniła do gospodarzy, żeby za żadną cenę nie pozwolić Markowi wyjechać, róbcie co chcecie, tylko żeby został u was, ja przylecę i będę na miejscu przed południem. A Marek pił, zresztą wszyscy pili, ale Marek pił najwięcej, bez umiaru. W takiej sytuacji ktoś mógł mu dać tabletkę nasenną, może dwie, włożyć do szklanki z alkoholem, by się upewnić, że zaśnie i będzie spał do czasu, gdy Sonja już tu będzie. Czy była obdukcja, nie wiem, ale chyba nie.

Opowiadała mi pani Maria, że poszła z Sonją na policję odebrać pozostałe po Marku dokumenty, paszport i w ogóle jego papiery. Otóż jak tylko te papiery znalazły się na powierzchni biurka, Sonja bardzo szybko złapała bilet i poleciała z nim do toalety, gdzie go zniszczyła.

I to byłoby wszystko co było - moim zdaniem - warte zapamiętania i zamieszczenia w prowadzonym wtedy, chociaż nieregularnie, dzienniku.

*

A z innej beczki: niecałe dwa tygodnie później amerykańscy astronauty Armstrong i Aldrin, na pokładzie statku kosmicznego Apollo Jedenaście, wylądowali na księżycu.